

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Złoty piasek

Apokalipsa u św. Jana i majtki dziwek w „Balu w Operze” Juliana Tuwima – nie mają antenatów. Są tylko wersety i nie ma niczego poza wersetami. Niczego przed, niczego po. Wersety, frazy, rymy, głoskowe harmonie, aliteracje, kaskada obrazów metaforycznych, jazgot i cisza. Jest jedynie to, co napisane. Jeśli frenetka – to słów. Jeśli seks – to liter. A trup – to tylko trup zdania ciętego w pół słowa.

Nie ma apokalipsy innej jak napisana. Nie bez przyczyny Tuwim okraślił „Bal...” mottem z Pisma, wersetami Apokalipsy. Jakby nie chciał pozostawiać złudzeń. Jakby chciał, by początkiem jego opowieści była stara prawda, świadomość, że gdy napisane stanie się ciałem – realność nic już nie będzie znaczyć. Końca świata nie ma tak długo, jak długo czytasz o końcu świata. Czy Kuba Abrahamowicz, który w teatrze Groteska dancinowo urzęnięte, erotycznie upocone arcydzieło Tuwima ucieleśnił – dobrze przeżył tę prawdę?

Czy pojął, że niemożliwe są próby końca świata? No bo niby co i jak ma być upiornie groteskowym, doczesnym falstartem finału finałów? Może trzy miesiące prób końca świata w teatrze? Aktorzy na blachę wkuwający własne przejście w nicość? Krawcy szyjący szaty ostateczne? Kompozytor wymrukujący szesnastą wersję Sonaty Belzebuba? Reżyser w rozpacz wyjący do aktora: „Nie tak! Stefan, na rany Chrystusa – więcej rozpacz!!!”? I wreszcie – premiera! Czy tak? A później sto, nawet dwieście powtórzeń? Słuchaj, Gienia, odnieśliśmy kolosalny sukces – jutro dwusetny raz zagramy koniec świata!... Ma się rozumieć – przy pełnej widowni!...

Są teksty, wobec których teatr jest bezradny. Są opowieści kompromitujące wszelkie próby ich ucieleśnienia. W prologu swego infernalnego śpiewu Tuwim syczy: „Dzisiaj wielki bal w Operze! / Sam Potężny Archikrator / Dał najwyższy protektorat, / Wszelka dziwka majtki pierze”. Są majtki napisane tak, że nie ma na świecie majtek, z którymi można by je porównać. Są majtki napisane tak, że nie potrzebują żadnego tyłka realnego, gdyż jak ulał leżą jedynie na napisanym tyłku dziwki napisanej. W takim razie – dać sobie spokój z teatralnymi ucieleśnieniami?

Nie wiem, nie mam żelaznej pewności. Jedno wszakże niewątpliwie jest. Chcieć w miarę rozsądnie pokazać na scenie „Bal...” – to nie chcieć ni na mgnienie opuścić fenomenalnie dyszących fraz Tuwima. To znaczy – nie chcieć opuścić warg aktorów. Mówienie! Mówienie! Jeszcze raz mówienie! Tylko tak, bo „Bal...” – jest napisany! Napisany! I jeszcze raz napisany! Napisany – do czytania.

Ciała słów, faktury zdań, zapachy arystokratycznego ochłaju tuż przed pierwszym brzdękami II wojny światowej, pot cennych dziwek, beknięcia stodołnie urzęniętych baronów, majonezy i kotlety, szminki ciekące po brodach, brokaty na czołach wolno opadających w wilgoć śledzia po japońsku, lustra zaparowane, umordowane brylanty, futra w szatniach zgniecione futrami, połamane obcasy, orderzy, sobole i grand-diuki, akselbanty i lampasy, no i ten czas, czas nocy bez końca, która zaraz się skończy... I będzie trzeba wracać do chałupy, a jak tu wracać do chałupy, skoro my słabi tak, że nas w sumie nie ma?...

To i milion innych barw, zapachów, kształtów, smaków i brzmień skapuje ze słów Tuwima – a u Abrahamowicza, który uciekł od samoistnych słów „Balu...”, co jest? O co poprosił aktorów, panią scenograf Małgorzatę Pacek, muzyka Krzysztofa Maciejowskiego oraz Katarzynę Aleksander-Kmieć, która choreografią się zajęła? O co prosił i w co w efekcie zmienił Tuwima arcydzieloną satyrę na jady sanacji, satyrę, która przedko okazuje się bolesną przypowieścią o ludziach, którzy – by lęk przed końcem wszystkich końców choć na moment zasłonić – wybierają gorzały, śledzie, jazzbandy i swe o świecie jak-że kojąco upite łby?

Nie będę się wdawał w katowanie szczegółów. Po diabła mam biadolić nad, dajmy na to, scenicznymi dziewczynkami, które są tak groteskowo żłobkowe, że ani raz na ich widok nie ogarnął mnie wyż baryczny. Zostawiam światelka, lustra, jakieś ni z gruchy, ni z pietruchy tu i ówdzie zawieszane maszkarony, zostawiam też koncept tekturowych cycków gołych, co miast z przodu, to na zadzie jednej z dziwek dyndają. Niech dyndają, może co wydyndają.

Zostawiam ten plankton. Musi wystarczyć, że z całym seansiem Abrahamowicza, w każdym jego calu, jest jak z owymi nieszczęsnymi pieskami znudzonych żon kalifornijskich milionerów. Miast swobodnie siknąć sobie pod płótem albo z uroczą foksterierką z sąsiedztwa pogłować w cieniu sekwoi, istoty te wleczone są do kosmetyczki, fryzjera, krawca, szewca i jubilera. Po czym, jeśli przeżyje, lezie to to Aleja Gwiazd Miasta Aniołów, lezie kornie, bo inaczej szlaban na pasztet z gęsich wątróbek. Lezie – na pokaz. Na łapach bućki z krokodylęj skóry, w górze kubraczek wyszywany brylantami, kapelusz z diamentem w kształcie kielbasy, na karku kaszmirowy szal, w ariergardzie zaś – klejnoty rodzinne gustownie przyprószone złotym piaskiem. Łeb spuszczone. Nie szczeka. W oku – łza.

U Abrahamowicza nie zaszczekało żadne słowo Tuwima. Nie ożyło, nie uniosło głowy żadne z zapisanych przerażeń. Powstał odpustowy bibelot. Końca świata nie ma tak długo, jak długo czytasz o końcu świata. A tak długo jak trwa koniec świata Abrahamowicza – tak długo opuszczasz głowę. Jak w poczekalni. Koniec świata znów się spóźnił.

PAWEŁ GŁOWACKI

Teatr Groteska. Julian Tuwim „Bal w Operze”. Reżyseria Kuba Abrahamowicz. Scenografia Małgorzata Pacek. Muzyka Krzysztof Maciejowski.